№ 6.

WARSZAWA

d. 29 stycznia (10 lutego)

1861.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej

Nr 1527.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Każdy powinien być przekonanym, że tylko w stanie, w jakim go Opatrzność postawiła, najlepiej służyć może Bogu. Niech się więc stara z każdym dniem stawać coraz lepszym, i pomagać, o ile to w jego mocy, do zbawienia innym. (Śty Franciszek Xawery).

SZOPKA.

III.

Grzesznicy rzucili się na kolana przed żłobem. Matka Boska, która na snopie słomy siedziała dotąd z Józefem, rzekła do niego:

Ja też pójdę, obaczę,
Jezus czy śpi, nie płacze?..

Kiedy Matka Boska była przy żłobie, Józef święty wpatrywał się w ten kąt, gdzie stoi owa dziewczyna w łachmanach, która wcisnęła się do szopki za królami. Matka Boska wróciwszy od żłobu, usiadła znowu koło Józefa świętego na snopie i rzekła jakoby półgłosem:

Śpi nasz Jezus kochany .

Józef święty, mając oczy wciąż utkwione w ten kąt, mówi jakoby zcicha:

Tam dzieweczka do ściany
Jakaś w kącie się tuli...
O mój Boże!.. w koszuli
Nie ma całej niteczki,
Z szaty jeno rąbeczki:
Nagie piersi, ramiona,
Cała brudna, zbłocona.

MARYA (także jakoby zcicha odpowiada:)

Widno, w królów szła tropy;
Widziałam, jak do szopy
Za nimi się wcisnęła.

I już odtąd wciąż jakoby pocichu prowadzą rozmowę, mając oczy w ten kąt zwrócone:

JÓZEF Śty.

Jakże ciężko westchnęła!

MARYA.

Bo też ciężka ta nędza,
Co po świecie ją pędza
W taki wicher, po nocy.

JÓZEF Śty.

Widzi mi się, krwią broczy,
Bo na ziemi czerwono.

MARYA.

Znać, ma nogę zranioną.

JÓZEF Śty.

Cóż dziwnego?... jest bosa,
Czasem ostry jak kosa
Głaz się wala przez drogę...

MARYA.

I nie tylko na nogę
Jest kaleką zapewnie,
W prawej ręce, jak w drewnie
Władzy nie znać i życia.

JÓZEF Śty.

Niezawodnie z wybicia.

MARYA.

Rysy twarzy szlachetne.

JÓZEF Śty.

Może dobre i świetne
Były przeszłe jej lata.

MARYA.

Potwierdza to i szata...
Resztą złota się świeci,
Choć czarna jak ze śmieci
I podarta w okruchy.

JÓZEF Śty.

Ani nawet chleb suchy
Z torby jej nie wyziera;
Samo płótno przywiera
Mokrzusieńkie do boku.

MARYA.

Pełno błyszczy łez w oku;
Ach! pomówić z nią muszę...
Ale pierwej się ruszę
Do mojego Jezusa,
Bo śnieg, widzę, poprusza
W żłób na niego szparami.
Napróżno je zwitkami
Utykałam ze siana;
Od wichru aż drży ściana,
Siano wypchnął też może...
O mój Boże! mój Bóże!

Poszła śpiesznie do żłobu i robiąc nowe zwitki z siana, rzekła do Jezusa:

Wciąż się wicher sprzeciwia,
Szumi, wyje, wydziwia,
Pospać dłużej ci nie da.
Niedość jeszcze ta bieda!
On z szpar siano wypycha.
O dziecinoż ty cicha!
Cierpliwości twej gdzie dno?
A toż słowo twe jedno
Zapędziłoby w lochy
Podziemne, ten wiatr płochy.

Obejrzawszy się na oną biedną dziewczynę, jakoby zcicha rzekła dalej:

Ale wiem ja twe myśli...
W nich się dola tej kréśli,
Co przez wichry i burze
Musi robić podróże,
Bosa, naga, o głodzie,
I być w różnej przygodzie.
Nie chcesz lepszym być od niej,
By nie rzekła: „wygodniej
Ma odemnie Bóg w żłobie,
Bo w zaciszu jest sobie.“
Ja znów szpary założę.
Twoja łaska wszak może
Sprawić, że ta żebraczka
I bez tego też znaczka
Uzna się twą pokrewną,
Przez dolę na was gniewną
I przez wspólną wam nędzę,
I we żłobie, jak w księdze
Wielką mądrość wyczyta,
Z której szczęście wykwita.

Przygotowawszy zwitki z siana, Matka Boska utyka niemi szpary. Gdy skończyła Matka Boska utykanie szpar, powróciła na dawne miejsce, wejrzała na ową żebraczkę i z nadzwyczajną łaskawością rzekła do niej:

A ty biedna sierotko,
Lube moje ty złotko!
Tak się kryjesz w kąciku...
Ran masz w sercu bez liku,
A odwłóczysz poznanie
Z Tym, co leży na sianie...
Wszak ten Jezus kochany
Może zgoić twe rany.
Może tego się wstydzisz,
Że w purpurze (*) tu widzisz
Jednych, drugich w sukmanach,
A tyś przyszła w łachmanach?
O nie!.. zawstydź się raczej,
Żeś też trochę inaczej,
Trochę mądrzej o Bogu
Nie sądziła, niebogo!
Król któryby mógł światy
Łożyć niby dukaty
Na swych zamków budowę,
Któryby mógł zamkowe

(*) Purpura, strój królewski.

Dookoła dziedzińce
I do zamków gościńce
Bić jasnemi gwiazdami;
Niby żwirem, głazami,
Król, coby mu kołyska
Od kamieni, z nazwiska
Dotąd jeszcze nieznanych,
Nowiusieńko stwarzanych,
Jako słońce błysnęła;
Król, coby mu kwitnęła
Wiosna, choćby w tej dobie,
Gdyby życzył tak sobie...
Ten król po co do żłobu
Taką zimną zszedł dobą?
Po co leży na sianie,
Gdzieby pisklę bocianie
Jeszcze sobie przykrzyło,
Że wygodniej mu było
W gnieździe ojców, co w mękach,
Czepili je na sękach?
Po co ten król najwyższy
Robactwu jest najbliższy?
Oto, by człek mizerny,
Co prócz nędzy niezmiernej
Krwawą jeno zna pracę,
W pyszne jakie pałace
Nie ustraszył się drogi;
By w Jezusie ubogi,
Widząc pod nim kłak siana,
Nie dopatrzył się Pana
Górnych niebios i ziemi,
Ale kroki śmiałemi
Przygarnął się do niego,
Jakoby swój do swego;
Więc się przybliż do żłobu,
Pomówcie tam ze sobą.

Żebraczka wyszła z kąta, zrobiła jeszcze parę kroków naprzód, to znów krok w tył, wyraźnie się waha, ale wreszcie mówi sama do siebie:

Brakuje mi niewiele,
Że się przecie ośmielę.

Znowu robi parę kroków naprzód, i mówi sama do siebie:

Czegóż dusza się lęka?
Ta prześliczna panienka
Serce takie ma złote!..
Czuję wielką ochotę,
By jej naprzód swą dolę
Pokazać jak na stole;
Potem co mi rozkaże,
Na wszystko się odważę.

Przystąpiwszy jeszcze bliżej do Matki Boskiej, mówi:

Jestem nędzna sierota,
Miałam chleba i złota
I wszystkiego dostatki,
Póki byłam u matki;
Lecz jak matka umarli,
Ludzie mi to wydarli.
Sukienkę od parady,
Której oto są ślady,
Zostawili mi z łaski,
Słysząc mój płacz i wrzaski.
Zresztą wszystko zabrali,
Bez litości sięgali
Po ostatni kęs chleba.
Nawiedziły mię nieba
I kalectwem niebogę:
Zapracować nie mogę,
I to nęka mą duszę
Najboleśniej... bo muszę
Nagością i skomleniem
I łez gorzkich strumieniem
Serca ludzkie poruszać,
I jałmużnę wymuszać.
Wszystek mi chleb żebrany,
Jak z piołunem zmieszany
Bardzo gorzki się staje,
Że go litość podaje.
Dziś różnemi drogami
Właśnie szłam za królami,
Żeby dostać jałmużnę;
Owładnęły mię różne
Trwogi, prosić nie śmiałam,
I aż tu się dostałam.

MARYA (sama do siebie:)

Wyczytuję z jej oczu,
Że uczucia ją tłoczą,
Których nie śmie udzielić.
Do tego ją ośmielić
Będzie dobrym uczynkiem:
Jeśli z lubym wspominkiem
Ciepła z powiek łza spłynie,
Lżej się zrobi dziecinie.

(Do żebraczki:)

Zdradzasz mi się dziewczynko!
Twoją twarzą i minką,
Że serduszko masz tkliwe,
Czucie mocne i żywe.

ŻEBRACZKA.

Ach! zgadujesz Maryo!
Moje oczy łzy piją
Na każdy dzień jak wodę...
Choć wesołość, swobodę
Po mej matce dziedziczę;
Chwilek błogich nie zliczę,
Co pod ojców mych strzechą
Biegły w żartach i śmiechu.

Lada co mię zabawi,
Ale też i zakrwawi;
Lada myśl lub wspomnienie,
I łez w oczy nażenie.
W jednym noszę woreczku
Wszystkiego potroszeczku:
Są tam łzawe tęsknoty,
Jest i trochę pustoty
Szczerej takiej, dziecięcej;
Ale chyba łez więcej.
Nieraz mi się zdarzyło,
Że do płaczu dość było
Rozejrzeć się po świecie
W pełnej wiośnie lub w lecie.
Bywało, że wokoło
Tak prześlicznie, wesoło,
Zielono i zielono;
A naonczas mnie w łono
Żałość jakaś wstępuje,
Smutek z szczęściem wraz czuję.
Łzy mi pachną, jak kwiecie
Bucha wonią w bukiecie,
I nie trzeba już wtedy
Żadnej troski ni biedy,
Żeby z oczu trysnęły...
Ciepłe wiatry wionęły:
Zapatrzone w niebiosy
Ku ziemi się gną kłosy,
Na niwie jak na morzu
Gęste fale się tworzą,
Idą niby owieczki...
Wejrzę... i jak gwiazdeczki
Łzy u powiek mi wiszą.
Wnet się wiatry uciszą,
Słyszę tęskną fujarkę,
Znów mam pełną łez miarkę,
I rozmyślam tak sobie:
Zkąd mi smutno w tej dobie,
Gdy tak ślicznie na świecie?
Tęsknota, co pierś gniecie,
Wyradza się ztąd może,
Iż Ten, który w przestworze
Rozsiał tyle śliczności,
Wysoko swój tron złoty
Z aniołami zasiada...
A duszaby tam rada...
Gdyby się z Nim, jak listek
Z drzewem, złączyć... to wszystek
Ból, tęsknota i trwoga
I ta żałość tak mnoga
W Jego wsiąkłyby łono...
Zielono i zielono
Byłoby znów na świecie,
A piersi nic nie gniecie.
Przypomniałam znów sobie,
Że On w ludzkiej osobie
Ma się zjawić na ziemi;
Łzami jak groch dużemi
Zalała się źrenica,
I gdy tych łez krynica
Na murawę spłynęła,
Dusza sobie lżej tchnęła.
Pomyślałam: jak czule
Do niego się przytulę,
To się wszystko zagoi.
Nawet w myśli mi stoi
Jedna piosnka, com sobie
Ułożyła w tej dobie,
Stoi w myśli i dzwoni
W uchu niby po błoni.

(ociera łzy).

MARYA.

Powtórz nam ją, kochanie!

ŻEBRACZKA (spuściwszy głowę, nieśmiałym głosem:)

Ej!..

MARYA.

Ach! moje żądanie
Nie jest w porę pogodną,
Tobie chłodno i głodno...

ŻEBRACZKA.

Gdy przed Tobą Maryo!
Znów me oczy łzy piją,
Serce tak się raduje,
Że już nawet nie czuję
Nędzy, chłodu ni głodu;
Ale to mi przeszkodą
Jest, że ludzi tu widzę
I okrutnie się wstydzę.

KRÓL BALTAZAR.

Zajęłaś nas powieścią
Wzruszasz swoją boleścią,
Każdy jeszcze ciekawy
Usłyszeć twój śpiew łzawy.

KRÓL KACPER.

Matka Boska prosi cię...

KRÓL MELCHIOR.

Odważże się już dziecię!

KUBA.

Pastuszkowie cię proszą,
Będziem słuchać z rozkoszą,
Bo śpiew bardzo lubimy.

PASTUSZKOWIE (jednym głosem:)

Ach! prosimy! prosimy!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wypadek w karnawale.

—

Byłoto ku końcowi karnawału. Na ulicach Warszawy brzeczące dzwonkami sanki migały w rozmaitych kierunkach, wiozące postrojone pary na miejsca uciech i rozrywek. Noc była pogodna, a łagodne światło księżyca zastępowało dostatecznie blask gazowych latarni; okna większej części domów pomimo spóźnionej godziny, jaśniały światłem, ochoczy dźwięk muzyki mieszał się z gwarem ulicznym, przybierając rózne odcienia, począwszy od dobranej kapeli ożywiającej salony możnych, aż do szynkownej kataryuki. Wśród wesołego tłumu różnorodnych postaci, przebiegających chodniki Nowego-Świata, dążył z pośpiechem dziesięcioletni może chłopczyna, blady i nędznie ubrany, który trzymając w ręku sporą flaszeczkę z lekarstwem, biegł, nie oglądając się na nikogo, z widoczną niecierpliwością, znać chcąc uniknąć ciągłego wymijania przechodniów. Zamierzał właśnie przejść na drugą stronę ulicy, gdy pośliznąwszy się na obmarzniętych flizach, został potrąconym od dwóch jakichś elegantów, tak mocno zajętych rozmową, że nie mieli nawet czasu obejrzeć się, pomimo głośnego krzyku biednego dziecka i brzęku upadającej flaszeczki.

Mój Boże! wołał, grzebiąc się w śniegu chłopczyna, cóż ja teraz pocznę, co powie biedny chory ojciec, co powie babula, jak bez lekarstwa wrócę do domu? Gdybym przynajmniej mógł znaleść receptę... płacz przerwał mowę biedaka, otrzepał lichą swą odzież i zaczął szukać, przy szczątkach potłuczonej flaszeczki, zawieszonej przy niej recepty. Wkrótce papier znaleziony zaszeleścił wręku chłopca, lecz razem drugi jeszcze dość spory przedmiot ciemnej barwy, leżący obok chodnika zwrócił na siebie jego uwagę.

Była to spora skórzana torebka z przerwanym rzemiennym paskiem, pełna jak się zdawało papierów, o czem świadczyła znaczna jej objętość. Chłopiec uchwycił ją skwapliwie, a zapomniawszy chwilowo o swoim smutnym wypadku, zaczął się jej starannie przyglądać ze wszystkich stron, obracając ją w rękach. Z początku zadrżał z radości na myśl, że może w tej torebce znajdzie pieniądze, które mu wynagrodzą poniesioną stratę, nie pomnąc na to, że grzechem byłoby korzystać z cudzego dobra, które przypadek oddał w jego ręce. Ale torebka była zamknięta na klucz, nie mógł więc nawet zaspokoić swej ciekawości i na nowo przypomniawszy sobie niemiłą przygodę, boleśnie płacząc, udał się ku domowi.

Stanąwszy przy drzwiach, lubo cały drżący od zimna, nie śmiał wejść do lichej izdebki na poddaszu, gdzie mieszkał razem z ojcem i sędziwą babką, która od pieluch prawie zastępowała mu miejsce wcześnie zmarłej matki. Przez cienkie drzwi tego schronienia nędzy, dochodziły ciężkie jęki chorego, które boleśnie raniły serce biednego chłopca; niespokojne kroki staruszki, w niecierpliwości chodzącej po izdebce, nie uszły także jego uwagi. Nie mogąc dłużej wytrzymać, stanął na progu; biedna kobieta z okrzykiem radości rzuciła się naprzeciwko niemu.

— Dawaj prędko lekarstwo Stasiu! zawołała niecierpliwie: ojcu coraz to gorzej, może mu też się polepszy, jak go zażyje.

Staś upadł na kolana przed babką, wypuszczając z rąk znaną już nam torebkę, którą dotąd miał przy sobie. Przelękniona staruszka z rozpaczą prawie wysłuchała opowiadania swego wnuka, co pomimo żalu i pomieszania nie pominął i najmniejszego szczegółu. Z krwawemi łzami prawie zbliżyła się do łóżka, na którem syn jej, ciężką złożony chorobą, zdawał się walczyć ze śmiercią ostatkiem sił, jakie mu pozostawały.

— Ha! moje dziecko, rzekła, przytulając do piersi biednego Stasia, znać Bóg chce nas na tym świecie ukarać za nasze winy, kiedy dopuszcza na nas tak wielkie nieszczęście... ależ On zawsze jest nie tylko sędzią, lecz i ojcem ludzi, módlmy się więc do Niego, aby nas nie zostawiał sierotami. Tu staruszka złożywszy ręce, cicho modlić się zaczęła; chłopczyna prawie odchodził od przytomności z płaczu.

Zbytecznem byłoby opisywanie reszty tej nocy, która upłynęła dla biednej staruszki na modlitwie i czuwaniu przy chorym. Staś tylko znużony płaczem i utrudzeniem zasnął twardym snem dziecka na podłodze przy łóżku ojcowskiem.

Nazajutrz po przetarciu ocz zaspanych, pierwszym przedmiotem nasuwającym się jego uwadze, była znaleziona torebka, dotąd leżąca

na ziemi; widok jej przypomniał mu wczorajszy wypadek, i znowu boleśnie płakać zaczął. Pocieszyła go jednak babka, zapewniając, że chory nad ranem znacznie się uspokoił i dotąd smacznie zasypia. Gdy jeszcze to mówiła, dało się słyszeć niecierpliwe pukanie do drzwi, i wkrótce zdumieni mieszkańcy poddasza ujrzeli przed sobą jakiegoś nieznajomego człowieka, trzymającego w ręku flaszeczkę apteczną. Na zapytanie staruszki, co go do nich sprowadza, odpowiedział z pośpiechem, że syn jego będąc wczoraj wieczór w aptece, przez nieuwagę zapewne wziął lekarstwo Stasia, pozostawiwszy swoję flaszeczkę na stole, w chwili, gdy ten był zajęty liczeniem pieniędzy; że zaś powtórnie wróciwszy się do apteki, nie mógł już naprawić uczynionej pomyłki, wrócił z płaczem do domu. Przepędziwszy noc całą w okropnej niespokojności ojciec nieuważnego chłopca, pobiegł jak najśpieszniej do cyrkułu, chcąc się dowiedzieć o mieszkaniu chorego, dla którego nierozważny postępek dziecka mógł stać się tak zgubnym, gdzie po długiem oczekiwaniu udzielono mu potrzebnej wiadomości.

Człowiek ten należał do zamożnej rzemieślniczej klassy, bez uniesienia usłyszał o wczorajszym wypadku Stasia; wzruszony w głębi duszy widokiem nędzy poczciwych ludzi, postawił na stole przyniesione lekarstwo i opuścił poddasze, uwielbiając cudowną moc Opatrzności, która niepojętemi dla nas częstokroć sposobami ocala nas od grożącej zguby.

Po jego odejściu staruszka uspokojona nieco przedłużonym snem chorego, zaleciwszy Stasiowi pilne strzeżenie ojca, wyszła z domu celem zakupienia kilku niezbędnych artykułów do życia za parę groszy, które jej jeszcze pozostawały, biorąc z sobą torebkę znalezioną przez wnuka z zamiarem odniesienia jej do kantoru Kurjera Warszawskiego, spodziewając się słusznie jakowejś nagrody za znaleźne. Ale Bóg cudowny w swoich wyrokach gotował jej nagrodę wyższą niżeli się mogła spodziewać, gdyż przyszedłszy do zamierzonego miejsca, zastała tam już poszkodowanego, którym był... własny jej syn starszy, co zrobiwszy znaczny majątek w handlu w jednem z odległych miast niemieckich, przybył nanowo do rodzinnego kraju, chcąc się wywiedzieć o losie matki i brata, od których lat już kilka żadnej nie odbierał wiadomości.

Że pomyślne to zdarzenie zmieniło zupełnie położenie biednej rodziny, przyczyniając się nawet do przywrócenia zdrowia ojcu Stasia, poczciwemu stolarzowi, którego niepomyślne interesa i choroba przywiodły do nędzy, dodawać tu zapewne nie potrzebuję. Owa staruszka, która z takiem poddaniem się znosiła niegdyś swą nędzę, ilekroć spostrzegła czyje czoło zachmurzone jakim smutnym wypadkiem, niosła zawsze pomoc i pociechę, a przytaczając wyżej opisane zdarzenie, nauczała innych własnym przykładem, iż nigdy nie godzi się szemrać przeciw wyrokom Opatrzności, gdyż ona najlepiej zna i nasze serca i nasze potrzeby.

Pogrzeb syna kmiecego.

—

Jest temu lat 69, jak się czeskiemu chłopkowi urodził syn. Wielka radość była w chacie rolnika, bo pobożni rodzice każde narodzone dziecię uważali jako dar Boży; radowali się jeszcze więcej że to chłopiec, więc przybędzie pomoc w pracy około roli. Było to w początkach czerwca— sąsiedzi się zeszli, a sędziwy Hanka częstował ich serdecznie, ze łzą nieraz w oku, bo serce jego przepełniało wesele niezwykłe. Dziecię otrzymało na chrzcie świętym imie Wacława.

W kilka lat później już chłopczyna jak mógł pomagał ojcu, pasając owce. W tej wiosce *Korzyniewsi*, w której się urodził, była szkółka parafialna; Wacławek z początku mało zważał na nią, przepędzajac gromadkę owiec na pastwisko, ale gdy mało co starsi od niego pacholęta wiejscy zaczęli mu z książki czytać i opowiadać ciekawe historye, Wacławek zapragnął nauki, aby umiał toż samo co i drudzy, i prosił ojca, żeby mógł chodzić do szkółki. Prędko przy ochocie nauczył się czytać, pisać i rachować. Tak przy pracy w polu i pasterstwie a nauce wyrosł na młodzieńca. Kiedy był w wieku popisowym, chcąc się uchronić od wojska, poszedł do szkół wyższych w *Krolowym Hradzie*, a skończył nauki w akademiach w Pradze Czeskiej i Wiedniu. Wtedy użytym został

przy urządzającem się *Czeskiem-Muzeum* w Pradze, gdzie zbierano dawne księgi i pisano zarazem pamiątki odwieczne, czy to żelaznych zbroi, czy innych zabytków.

W r. 1817, miał wtedy lat 26 życia, kiedy wyjechał do miasteczka zwanego Kralowy-Dwór odetchnąć po pracach ciężkich. Zaledwie kilka dni zabawił, dają mu znać, że na wieży starożytnego kościoła, są jeszcze bardzo dawne pamiątki, to w zbrojach, to w żelaznych strzałach. Hanka poszedł na tę wieżę, i z wielkiem zadziwieniem znalazł na zwitkach pergaminowych jekieś pismo, ale w języku czeskim. Radość jego była nieopisaną; burmistrz i ławnicy ofiarowali mu na własność to co znalazł. Hanka drżący od wzruszenia pośpieszył do mieszkania, i w jakiež wpadł uniesienie, gdy się przekonał, że to są najśliczniejsze czeskie poezye, z czasów jeszcze gdy Czesi byli poganami i z pierwszych lat chrześcijaństwa.

Tak szczęśliwe odkrycie poruszyło cały naród Czeski; kiedy poezye te wydrukowano p. t. *Rękopismu Królodworskiego*, w całej Europie imie Hanki poznanem zostało, a ten rękopism przetłumaczono na 17 języków. U nas mamy trzy przekłady, najlepszy wierszem rymowanym Lucjana Siemieńskiego.

Chociaż wynalezieniem tak cudnej pamiątki Hanka zyskał wielką sławę, nie przestawał dalej pracować. Umiejąc dobrze po polsku, a chciawszy, żeby jego rodacy nauczyli się tego języka, który wielce kochał, napisał i wydrukował gramatykę polską dla czechów, tłumaczył także nasze krakowiaki.

W pracy przeżył lat 69, i umarł 12 stycznia r. b.—dnia 15 stycznia odbył się pogrzeb zwłok jego. Nie pamiętają najstarsi ludzie w Pradze Czeskiej tak wspaniałego obrzędu. Karawan, na którym spoczywała trumna, ozdabiał wielki wieniec wawrzynowy; sznury od całunu trzymali książęta i najuczeńsi panowie. Namiestnik szedł za trumną, a obok wielcy panowie czescy, kanonicy i obywatele. Przeszło 20,000 ludu stanowiło szereg idących, dwa razy tyle stało po ulicach. Krocie pochodni i świec gorzało. Na bokach karawanu wisiały tarcze, tylko z napisanem nazwiskiem zmarłego Hanki, bo to był syn chłopka, pasterz owiec, herbu nie miał żadnego; ale to nazwisko samo równało się najwspanialszym klejnotom szlacheckim. Chór śpiewaków wzniósł śpiew żałobny, gdy wyniesiono zwłoki jego z domu, gdzie zasnął w Bogu.

Na cmentarzu Wyszehradzkim czekały inne chóry śpiewaków. Kiedy złożono trumnę przy grobie, wystąpił kanonik Wacław Sztulc, świątobliwy kapłan, mąż uczony, a przyjaciel serdeczny zmarłego, i w mowie, którą powiedział, wyliczył zasługi Hanki i żal całego narodu czeskiego.

Taki był pogrzeb, tak pochowono syna kmiecego, wśród narodowego śpiewu, z rosą łez serdecznych wielu tysięcy przywiązanych rodaków, a oceniających wielką i nienagrodzoną stratę!

Łaźnie.

—

Używanie łaźni w dawnej Polsce było upowszechnionem; nazywano je potnikiem, suchą wanną, kąpielą parową, łaźnią. W łaźni sieczono się *winnikiem* inaczej *chrustnikiem łaziebnym*, to jest miotełką z rózg brzozowych z liściami, aby się lepiej otwierały pory; winników tych xiążętom dostarczała pierwiastkowo Litwa. Dla zachowania płci delikatnej wycierano się w łaźniach jajami i miodem lipcem. W dawnych nadaniach wspominają łaźnie *publiczne*, które puszczano w dzierżawę *łaziennikom*.

Szczególne nieraz kładziono warunki w umowach dzierżawnych; np. w mieście Żywcu 1592 r. urząd z radą miejską wypuszczając łaźnię Krzysztofowi balwierzowi, pomiędzy innemi taki zastrzegł warunek:

Aby co rok cztery razy, na każdą ćwierć roku, to jest przed Gody, przed Wielką Nocą, przed Śtym Duchem i przed Śtym Michałem palił łaźnię darmo dla szkoły i ubogich, a to w imie Boże za fundatorów.

W Warszawie wspominają łaźnię przy zamku. W Poznaniu była wielka drewniana łaźnia przyległa zamkowi. Przy łaźniach byli dozorcy *łaziebnikami* zwani, *palacze* dla utrzymywania ognia i dostarczania wody, blisko zaś łaźni dla usługi kąpiącym się mieszkali *balwierze* i *golarze*. Opłatę, gdzie była ustanowioną

odbierali łaziebnicy, i oni wnosili pobór do skarbu publicznego. Łaziebnicy bywali ubodzy, jak to stare przysłowie pamięci przekazało, mówiąc: *obdarty jak łaziebnik.*

Łaziebnik każdy w czasie pożaru obowiązanym był z wiadrem na ratunek się stawiać. Nie wyjaśniono powodu, dlaczego dzieci łaziebniczych i balwierskich do rzemiosł nie przyjmowano, wyjąwszy do lżejszych; chyba pewno dlatego, że żyjąc z grosza lekkiego, nie chętnie pracy się oddawały.

Był dawniej zwyczaj, iż gdy umarł bogaty, oprócz *stypy*, czyli uczty pogrzebowej, *kapu* to jest datku, wyprawiono ubogim łaźnię.

Przyjętem nadto było u ludzi przechowujących staroświecki obyczaj, iż syna w świat wyprawianego, lub córkę oddawaną do dworu, prowadzono do łaźni, dawano przestrogi i nauki, a w końcu, aby nie tęsknili do domu, sieczono rózgami, zkąd powstało przysłowie: *sprawić łaznię komu.* Zwyczaj ten pomiędzy wyższymi zachowywany, święcił również i Bolesław Chrobry król Polski, który używając często łaźnił, brał z sobą tam młodzież, dawał przestrogi, rózgą wdrażał je w pamięć, a potem odziewał nowemi sukniami. Obszerniej o tem rozpowiedział wam już kiedyś p. Marcin Jarzyna. Łaźnie u możniejszych z wielkim przepychem urządzane były; łaźnia pinczowska celowała nad inne.

Xiążęta zamawiali sobie dzień jeden w tygodniu, lub w miesiącu w łaźni publicznej dla siebie, rodziny i dworu, a nawet dla niektórych klasztorów.

W niektórych miejscach do ostatnich czasów zachowały się nazwiska *Witołdowej łaźni*, od imienia Witołda Xięcia Litewskiego.

Swidrygiełło takiż xiąże miał sobie dozwolone od papieża Eugeniusza IV używanie łaźni i w niedzielę. Zygmunt I król Polski i Zygmunt August używali łaźni. Stefan Batory jednak, jako Siedmiogrodzianin, i Zygmunt III, jako szwed, obcy temu zwyczajowi doświadczać ich nie chcieli.

Zwyczaj używania łaźni coraz bardziej zarzucany przez panowanie u nas obcych pochodzeń królów, wprowadzających cudzoziemskie obyczaje i ubiory, przez chowanie się dzieci zamożniejszych rodzin zagranicą, a w końcu przez sam strój z obczyzny przyjmowany i coraz mniej łatwy do zdejmowania, zupełnie zaniedbanym został. Już za Zygmunta III w ustawach poborowych, łaziebników wspomnianych nie ma.

Nie wszystkim przecież łaźnie służyły: Zygmunt I pisząc do Ludwika króla węgierskiego i czeskiego synowca swego, odradza mu używanie łaźni; podobnież Zygmunt August król radzi Barbarze Radziwiłównie, aby się w łaźni nie myła.

Dług oddany.

Pewien człowiek stargował i wziął na bórg (kredyt) buty od szewca. W kilka dni przyszedł on do owego szewca, chcąc mu dług oddać, a gdy dom i kram (sklep) zastał zamknięte i długo kołatał, rzekł mu ktoś:

Po co tak długo kołaczesz i próżno czas tracisz? Szewc ten, którego szukasz, umarł i już jest pochowany.

A tak ów człowiek, rad nierad, z pieniędzmi w ręku, które na zapłatę przyniósł, do domu powrócił. Ale gdy się rozmyślił w domu, chcąc poskromić w sobie radość chwilową, którą miał z tego, że się kilka groszy przy nim zostać miało, wrócił się do mieszkania szewcowego i rzekł:

Komu innemu szewcze, mogłeś umrzeć, aleś mnie żyw jest, i dlatego płacę ci to, com winien; i mówiąc to, szparą, gdzie drzwi trochę nie przystawały, pieniądze wrzucił, karząc tem chciwość swoję, iżby do cudzego grosza nie przywykała.

(Łukasz Górnicki).

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15. Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować.— Warszawa d. 29 stycz. (10 lutego) 1861 r. Starszy cenzor, F. *Sobieszczański*.